



Seweryn Goszczyński
(1801 — 1876)

Dziennik podróży do Tatrów (1853)

Dla czytających to dzieło

Autor tej podróży, ogłasza ją głównie dla tego, że chwila jego życia schwycona w tem dziele, jest jedną z tych, w których żył wszystkimi swojemi władzami, życiem pełniejszym niż kiedykolwiek.

Podróż ta miała miejsce w roku 1832, a ogłasza się dziś dopiero, niemal we 20 lat. Ogłoszenie to może się wydawać za późne, niewłaściwe. Autor jednak nie cofa się przed niem. Sądzi, że ani przedmiot, ani wydanie jego dzieła nie tracą na przewłoce. Opisuje on góry i lud który je zamieszkuje: a — które w tym przeciągu czasu się niezmieniły.

Czytelnik nie znajdzie w tem dziełku skarbów umiejętności albo nauki, autor puścił się z małym zapasem wiedzy, z mniejszym jeszcze naukowości, a bez żadnej książki, nawet bez barometru. Nierobił on tej podróży ani jako Geolog, ani jako Geograf, ani jako Archeolog; puścił się obyczajem żebrzących śpiewaków swojej krainy, z lirą swojego ducha, z nią tylko; do niej nastroił swój rozum, swoje zmysły, wszystkie swoje władze, i to tylko zachował czem mu ten instrument zagrał, potracony od ziemi którą przeszedł i od jej ducha. [...]

Autor nie daje tego dzieła za coś zupełnego, za obraz którego przedmiot byłby wykończony we wszystkich swoich częściach, we wszystkich szczegółach; wszakże pochlebia sobie, że nie pominął nic obojętnie co kraj opisywany i mieszkańców jego mógł przedstawić najbardziej zajmującego, najgodniejszego uwagi; że następnie dotknął tego wszystkiego w sposób może niekiedy zaogólny, ale nigdy lekki: tak sobie śmie pochlebiać a przeto i z tego względu odważa się na niniejsze ogłoszenie.

Wyjątki z tej przejażdżki umieszczane były przed laty kilkunastą, w jednym z dzienników Krakowskich, i tak jak były ułożone dla ogłoszenia dziennikarskiego [...].

Wieś Mikołajowice

Wieś sama, Mikołajowice, jest niewielka i podobna do wszystkich wsi tutejszych, których niemożna postawić za wzór czystości, porządku, a tem mniej okazałości. Leży niedaleko Dunajca, nad starem jego korytem, wśród płaszczyn ogromnych i zrównanych pod strychulec. Chaty rozrzucone w nieładzie fantastycznym, każda patrzy w inną stronę, jak żeby dąsała się na swoje sąsiadki. Takim chatkom ulic nie potrzeba, dla tego też niema ich tutaj. Za to snuje się między nimi droga, dosyć sucha w lecie, oprócz kilku kałuż, które ją przecinają, niby strumyki. Liczne wierzby ocieniają wioskę, tu uszykowane szeregami, tam zwinięte w gaik, ale co roku szpecone podkrzesywaniem, na potrzeby gospodarskie, co się tyczy wierzchołka, tym mało która popyszczyć się może. Nie zbywa jednak na sadach, i tu dopiero są drzewa wielkie i ładne; owe-to sady osłaniają niepowabną srogość wioski, ich-to troskliwoci macierzyńskiej winna wieś że patrzącemu z zewnątrz przedstawia wśród płaszczyny nagiej w tern miejscu, przedmiot dosyć przyjemny dla oka.

Okolica nie jest ani nieładna, ani martwa. Widok na wzgórza z jednej strony, na lasy ogromne z drugiej, jest i zajmujący i rozmaity. Wsie dokoła nie obszerne, ale liczne i gęste. Miasteczko Wojnicz leży o półgodziny drogi od Mikołajowie. Jeszcze bliżej przechodzi wielki gościniec z Tarnowa do Podgórze Krakowskiego, najdłuższy i najgłówniejszy w Galicyi. Ruch jego niemały ożywia tę okolicę. Dla przechadzki mam brzeg Dunajca; dla przechadzki i oka wyniosłe wzgórza na drugim jego brzegu, a jeszcze dalej na prawo i wyższą od tych wzgórzów mam górę, która się zowie Panieńską. Nasycony widokami wiejskimi, ile razy zapotrzebuję powietrza i życia miejskiego, mam Tarnów o lekkie półtory mili. [...]

Tarnów — Wojnicz i okolica

[...]

Na bliższe przypatrzenie się zasługuje okolica Tarnowa, zwłaszcza jej część widziana z tej tu strony Dunajca, z doliny na której leży Wojnicz. Widok ten jest już w rodzaju wyższym od powszedniego; nadewszystko południowa jego strona, górzysta, objawia na pierwszy rzut oka że jest już rodziną Karpat: rodzina drobna wprawdzie i tak się ma do pnia swojego jak my do naszych ojców przedpotopowych.

Okazałe garby, rozmaitego kształtu, ogromu i kierunku, to na wpół obwieszane lasami, to całkiem odziane ich czernią, to strojne smugami pól uprawnych, to obetkane gromami gęstych wiosek, poźłobione rozdołami tem głębszemi, tem urwistszemi im dalej ku Karpatom idą; obwiedzione u podnóża kobiercami łąk świeżych, i wstęgami potoków zmiennej barwy według chmurnego lub jasnego nieba, igrających podczas pogody jak sarna przyswojona, a przy pierwszym deszczu nabrzmiałych, wzburzonych, rzucających się jak zwierz rozjuszony, jednym słowem, nieugłaskanych, dzikich, jak łono przyrody która je poczyrna, oto są pierwsze

z tej strony wschody do gmachu którego kopułą są Tatry a w wieżami Łomnica i Krywań.

Płaszczyzna która się od nich poczyna i rozwija ku Wiśle przez mil kilka, podnosi jednotonnością swoją rozmaitość podgórze, a odosobniona góra Ś. Marcina, panująca z jednej strony nad Tarnowem i jego niskimi polami, z drugiej nad drobniejszym pasmem pobliskich wzgórzów, zda się stać na straży podgórze, zda się być jednym z szeregu kopców odgraniczających dziedzinę gór od dolin. [...]

Ogólny pogląd na Tatry

1 maja 1832 z Łopusznej

Dziś przecię miałem przed sobą Tatry w całej ich okazałości, w całym ogromie. Żaden obłoczek natrętny nie błąkał się po nich. — Deszcz całonocny obmył je znacznie ze śniegów; wyglądały jakby eterem oblane. Wybraliśmy do tego stanowisko wzniosłe, na jednej z gór nade wsią, zwanej Wielka góra. Napasłem do woli oko tym widokiem nowym dla mnie a okazalszym nad wszelki jaki sobie wyobrażać mogłem; przebiegałem w całej swobodzie ten zdumiewający łańcuch wysokości, od gór podpierających igrom Łomnickiego szczytu, aż do miejsca gdzie się zniża i całkiem przerywa, nad rzeką Wagiem.

Tatry są częścią Karpat, częścią najzachodniejszą. Jest to grupa gór najpiękniejszych między górami Karpackimi przez swoją wzniosłość i dzikość. — Są one wszystkie prawie w wyższej części obnażone, i pokryte lodami lub śniegami: tu znajdują się już lodowce alpejskim podobne. Leżą one na pograniczu Węgier i Galicji: linja graniczna, prowadzona rzeką Białką od jej zbiegu z Dunajcem, aż do wypływu z Morskiego Oka, okrąży Morskie Oko szczytami skał, później przecina je przez mil kilka w kierunku zachodnim, zwraca się potem na północ ku Babiej górze, i przeciąwszy jej wierzchołek, łamie się znowu na zachód. Przez owo odgraniczenie, ta część Galicji tworzy jakby odnogę otoczoną ze trzech stron Węgrami: jest ona całkiem w obwodzie Sandeckim, a ze strony Węgier przypierają do niej dawna ziemia Spiska i obwody czyli stolice Liptowska i Orawska.

Linja Tatrów, jak jest widziana z okolic Nowegotargu, ma kierunek od wschodu na zachód, ukośny cokolwiek ku północy od strony zachodu.

Nie śmiem oznaczyć ze ścisłością rozmiarów jej długości i szerokości; powiadano mi że długość może wynosić do piętnastu mil, a szerokość największa około sześciu mil.

Najwyższą częścią Tatrów jest strona ich wschodnia, jest ona zarazem i najdziksza na całej szerokości, aż do płaszczyzn na przeciwnej stronie węgierskiej. Górują nad wszystkimi szczytami Łomnica czyli Krępak, wyniesiony nad powierzchnią morza 8000 z górą stóp, i Krywań niższy od Łomnicy więcej niż o stóp 1000.

Oba te szczyty pokazywano mi dzisiaj, wszakże zdaniem innych, nie są one widziane z Galicji tylko ze wsi zwanej Ząb Suchy, przyległej Kościelisku. Wszakże

na to zgadzają się wszyscy, że się przedstawiają najpiękniej i najokazalej patrzącemu od Kezmarku na Węgrzech, bo z tej strony podnoszą się od razu z płaszczyzny, bez żadnych prawie przedgórzów, z tamtej także strony jedynie można wejść na Łomnicę, wejście z innych stron niepodobne. Tamtą drogą Następca dzisiejszy tronu Cesarskiego w Austrii, doszedł do samego wierzchołka, na pamiątkę czego, postawiono krzyż na Łomnicy.

Oprócz tych dwóch szczytów, bielejących już wiecznym śniegiem i lodem, nie policzona jest ilość szczytów mniejszych, między którymi znaczna liczba są lodowcami w całym znaczeniu tego wyrazu. Dostyc jest policzyć szczyty które tworzą grzebień Tatrów odrysowany na widokregu, a dopieroż niższe on nich z tej strony, albo leżące na ziemi od Węgier!

Piszę co mi powiadają albo o czym z pierwszego wejrzenia sam sądzić mogę. Może w tem me ma ściślej prawdy, ale mam przekonanie że niema także ważnego zboczenia od prawdy. Z resztą podaję tylko to co można mniej więcej sprawdzać samym wzrokiem.

Gewont, dzielący dolinę Zakopanego od Kościeliskiej, jest w łańcuchu przedniej strażnicy Tatrów, ostatnią z owych szczytów wyższych i nagich, odznaczających wschodnią ich połowę; jest punktem granicznym od którego zaczyna się połowa druga, zachodnia. Szczyty tego szeregu są już coraz niższe aż do Wagu. Przebijają się jeszcze i tutaj nagie i śnieżne wierzchołki, ale tłem całości jest już barwa życia, wdzięk życia. Zaokrąglenia gór łagodniejsze, lasy świeże lub trawy bujne, przestronniejsze doliny, cichsze wody, umiarkowańsze powietrze. Tatry, uważane w tych dwóch połowicach, wydają mi się małżeńską parą, gdzie jedno obdarzone jest okazałością, siłą, niszczącą mocą, przymiotami dzikiego męża, a drugie jest niewiastą rodną, z całą jej łagodnością i ujmującym wdziękiem. Geografia miejscowa nadaje nawet nazwisko Matry tym górcom; co może nie jest tak dowolne i nowe jakby się zdawało, skoro zważemy, że przed wiekami naznaczano tu miejsce tak zwanym Babim górcom.

Dalsze przeciągnięcie tego łańcucha pograniczem Węgier i Moraw ku Austrii, zowią tu Fatrami. Nie widziałem ich dzisiaj z miejsca z którego oglądałem Tatry.

Patrząc na Tatry tak rozłożone przedemną, przeskakiwałem myślą ową przestrzeń kilkomiłową, która mnie od nich dzieliła, i widziałem jakbym był cały na miejscu: te szczyty tak ostre że ledwo się na nich spojrzenie zaczepi, to są milowe może płaszczyzny; te garby rozsiadłe są najeżone krociami skał ostrych, niedostępnych; te ciemne pręgi w różnych kierunkach jak żyłki marmuru, to są wielomilowe doliny, wąwozy, rozdoły, niezgłębione parowy, przepaście, do których dalekie tylko spojrzenie dolecieć może; a między nimi świat spojrzeniu nawet niedostępny, myśli ludzkiej nawet nieznany, świat osobny, różny od wszystkiego co wiemy, świat zimny, zgrozy, martwoty, zamknięty kołem trudów i niebezpieczeństw nad wszelkie siły ludzkie, nad wszelką odwagę ludzką.

Nie tracę jednak nadziei dotknąć się bliżej tego wszystkiego; ale to tak prędko nastąpić nie może. Od połowy września, a nawet wcześniej, do większej połowy czerwca, głębia Tatrów zasypana jest takimi śniegami, obwarowana powietrzem tak zimnym, że najzapaleńszy kochanek przyrody z całą swoją odwagą i wytrzymałością, musiałby się od nich cofnąć, albo co chwila zagrożony jest śmiercią w otchłani śniegu pod lawinami, albo w objęciach mrozu. A tymczasem do koła mnie rozwija się pełna wiosna; ciepło coraz mocniej dogrzewa. Do koła pogoda, zieloność, kwiaty, szum wody swobodnej; u parnego nawet podnóża lodowców ciemnieją wzgórza umajone puszciami świerków i zielonemi polanami. [...]

Dolina Nowotarska — Nowytarg

Ze wszystkich dolin które dotąd opisałem, ze wszystkich które znalazłem na mojej drodze od Tarnowa ku Podhalu, które widziałem gdziekolwiek, żadna niemoże iść w porównanie z doliną Nowotarską. Mogą być miłsze od niej, wdzięczniejsze, na małą skalę, ale trudno o podobną, bo trudno o takie skupienie tylu i takich przedmiotów, jak są te które wchodzą do jej ogółu. Wszystko tu się składa na całość rozmiaru ogromnego, różnorodności wszechstronnej, różnorodnego wdzięku. Rozległość, oblicze wewnętrzne, widoki na zewnątrz, mieszkańcy, życie przyrody, życie ludu, pomniki dziejów, poezja gminu i tym podobne, wszystko to tworzy świat pełny w samym sobie, harmonijny, ogromny, różny od wszystkiego co dotąd widziałem, zasługujący ze wszech miar na uwagę i bliższe przypatrzenie się. Jestem dla niego pełen części i miłości, stąd pragnę i będę usiłował skreślić go, chociaż w pewnej części, w rysach ogólnych a o ile można wiernych. Praca to jest nie krótka i nie lekka, niemając przed sobą innej w tych dniach, jej poświęcę całą tych dni swobodę.

Dolina Nowotarska zajmuje przestrzeń ogromnego obwodu, niepodobna mi oznaczyć ją z dokładnością milami, powiem tylko, o czym mię zapewniono, że ludność doliny wynosi z górą stotysięcy mieszkańców. Granice widokręgu są granicami doliny. Granicę ową stanowią od południa Tatry, dalej ku zachodowi bieją cokolwiek niższe szczyty ale śnieżne, gór zwanych Fatrami; [...] Powierzchnia doliny nie jest ściśle płaska; u podnóża Tatrów z jednej strony, przy przedgórzach z drugiej, pogarbiona mniej więcej znacznymi wyniosłościami, spuszcza się jakiś czas ku swojemu środkowi nieznaną potocznością, aż do Dunajca, którego taże jest właściwie ostatnią głębią dna doliny.

Mówiąc o Nowotarskiej dolinie, powinienem tu zapisać piękne tyczące się jej podanie. Lud wierzy i powiada, że przed wieki cała ta przestrzeń zalana była morzem, które się zwało Karpackie morze; ale że jakiś, bardzo dawny Król Polski, kazał przeciąć górę Pieniny i tym sposobem cały ten kraj osuszył, stąd bieg Dunajca aż do Wisły.

W rzeczy samej przechód Dunajca przez Pieniny, jest tak wyłobiony między prostopadłymi skałami, tak ma pozór kanału, że okoliczność ta nadaje pewne prawdopodobieństwo podaniu ludowemu, przynajmniej co do istnienia przedwiekowego wielkiego ogromu wody na dzisiejszej dolinie nowotarskiej, i gwałtownego jej przedarcia się przez tamę Pienin.

Szczegóły podania mogą być późniejszym wymysłem, ale istotą jego jest ta pamięć ludu, która sięga czasów przedwiecznych, czasów owych, których dzieje częstokroć najrzeczywistsze, są dla potomności niepodobnemi do prawdy: lud jednak pozostaje religijnie wierny swojej przeszłości. Z resztą cóż w tem podaniu jest tak nadzwyczajnego? alboż jedno miejsce przeludnione dzisiaj, nie miało kiedyś innych mieszkańców jak mieszkańców wody? Gdzie są dzieje któreby nam dochowały pamięć wszystkich wstrząśnień, wszystkich zmian przez które przeszła ziemia od chwili jak wyszła globem ziemskim z rąk swojego Stwórcy? Mamyż co, na czym byśmy niewzruszenie oparli zaprzeczenie nasze powyższemu podaniu? Ja przynajmniej nic takiego nie widzę i dzielę wiarę ludu w jego powieść, bo ma prawdopodobieństwo za sobą i otwiera ogromne pole uroku poetyckiego, człowiekowi unoszącemu się w przeszłość z miłością dla niej. [...]

Mgła poranna w górach

Minęło lato. Góry śniegiem się odziewają; przedgórza występują w dzikszych coraz barwach. Polany spustoszały; ogłuchły echa pieśni pasterskich; słońce z każdym dniem widoczniej się nudzi, z każdym dniem wcześniej na spoczynek odchodzi. Pogoda walczy jeszcze ze mgłami, rozdrażnia sny moje krótkie jak sny rozkochanego. Budzę się w ciemnościach; gwiazdy iskrzą, lśni się obfita rosa korzystam z ostatnich lata zabytków, chcę sobie przypomnieć letni poranek, puszczam się w góry. Zatrzymałem się na szczycie Wielkiej góry nad Łopuszną.

Cała dolina leżała cichym snem pod memi nogami. Księżyc spuszczał się bezchmurnym niebem do zachodu. Pogoda była mi tem urocześniejsza, że się zdawała być uśmiechem piękne sny marzącego; księżyc tem milej, tem tęskniej świecił, że tylko mnie samemu świecić się zdawał. Tatry stały uroczyście jak żeby milczącą modlitwą dumały.

I oto ze szczytu Rabiej-góry wybuchnął kłęb lekkiego tumanu i stoczył się do jej podnóża. Wschód mocniej płonąć się począł. Jutrzenka ucieka w głąbie nieba. Na kilku białych szczytach pokazały się płatki różowego blasku; a od zachodu mgły się podnoszą: z początku bieleją w postaci kilku chmurek błędnych, powoli idą ku sobie, spotykają się, łączą się, gęstnieją, toczą się białym wałem cicho, uroczyście, coraz szerzej osłaniają dolinę, już dosięgły mojego stanowiska, już je oblały do koła, rozlewają się dalej, już dosięgły Pienin, i oto cała dolina zniknęła. Lasy i wody, wsie i pola, wzgórze i błonia, wszystko co księżyc tak pięknie przed chwilą oświecał, w tej chwili zagasło pod mgłą morzem. Prawdziwe to morze. Kłęby tumanu burzą

się jak poruszone fale, przewalają się przez siebie nawzajem; cała masa jednym ruchem zdaje się kołysać — cichnie — a jednostajna siwa barwa rozlewa się po powierzchni całego tego ogromu. Tatry, Pieniny, Rabia-góra zostały teraz brzegami morza, z którego łona podnoszą się gdzie niegdzie, jak ciemne wyspy, wyższe wzgórza lasami porośłe.

Wzmagający się blask świtu, rozjaśnia coraz mocniej część wschodnią mglistego morza i zaczyna rozścielać po niej pajęczynę z barw płomiennych, igrających. Nakoniec pokazało się słońce. Tu muszę złożyć w pokorze mój pędzel malarski; nie czuję się zdolnym wyobrazić jak słup jego pałający, niezmierny w swej długości, rzucił się wzdłuż mgłówek aż ku mojemu oku, jak mi barwami po ruchomem tle ich igrał, jakiego uroku był ten most tęczyowy między mną a słońcem, jakim blaskiem zajaśniało wszystko między ziemią a niebem!...

W miarę jak słońce podnosiło się, odbłask jego na powierzchni tumanów zmniejszał się i ciemniał. Powiał wreszcie wiatr, zawichrzył mgłami, podniósł niektóre do wysokości mojego stanowiska.... Widowisko skończone! — zszedłem na dół ale w zachwyceniu i poczuciu że mi się objawiło owe Morze Karpackie, które, podług podań, zalewało niegdyś dzisiejszą Nowotarską dolinę.

[S. Goszczyński, *Dziennik podróży do Tatrów*, Petersburg 1853, s. I-IV, 4-6, 13-14, 49-53, 97-100, 254-256; interpunkcja i wyróżnienia oryginalne, pisownia nieznacznie zmodyfikowana]